

SZARY
MONIKA
BŁĄDEK

NASZA KSIĘGARNIA

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, 2016
Text © copyright by Monika Błądek, 2016

Projekt okładki *Paulina Radomska-Skierkowska*
Grafiki na okładce *pl.freepik.com*

ROZDZIAŁ 1
AGRESOR

– Co to jest?!

Natarczywy głos przy samym uchu sprawił, że wyprostowałem się na krześle. Nowakowska wbijała we mnie wściekłe spojrzenie. Jak gdyby nigdy nic, przeniosłem wzrok na zeszyt. „Niezły rysunek” – pochwaliłem samego siebie. Szary wilk wył do księżycy, białej kuli na tle atramentowej nocy. Kreski tworzyły cienie i wypełniały kontury. Niebieskim i czarnym długopisem potrafiłem czynić cuda, czarować, tworzyć nowe światy. Moją muzą była nuda – Biała Pani skutecznie zastępowała natchnienie.

– Wilk – odpowiedziałem spokojnym tonem, po czym uśmiechnąłem się do matematyczki. Nie cierpiałem tego przedmiotu. Wystarczyło umieć dodawać, odejmować, dzielić i mnożyć. Po co uczyć się czegoś więcej?

– Wilk? – powtórzyła jak echo. Nie dała się nabrać na mój uśmiech, właściwie to ją zirytował. Zacisnęła dłonie na krawędzi ławki, w której siedziałem. – Dam ja ci wilka!

– Uściślając, księżycowy wilk, psze pani. Bo wyje do księżycyca.

Usłyszałem śmiech przypominający chichot stada hien na polowaniu. Czarniawy Szamil znowu dostarczył klasie powodu do kpin.

– Muslimy lubią wilki – doszedł mnie jadowity szept z boku. – Obszczymurki do wystrzelania.

Poderwałem się z krzesła. Nowakowska instynktownie cofnęła się o krok i zasłoniła wroga swym ogromnym ciałem. Gdyby nie to, moja pięść wylądowałaby na szczęce Sroga. Mięczaka obciętego na zapalną, który podkradał starszemu bratu książki z serii Metro i pozwalał na stalkera.

Dźwięk dzwonka na chwilę zagłuszył śmiechy. Nowakowska zwróciła twarz ku zegarowi nad tablicą, po czym energicznym krokiem ruszyła do biurka. Już miałem się rzucić na Sroga, gdy usłyszałem:

– *Ja ciebie pokażę!* – Dziewczyny ze środkowych ławek, chichrając się, wywaliły w moją stronę języki i kreśliły kółka na czołach. Potem przystawiły otwarte dłonie do skroni i nimi zamachały – niby że są zającami.

Już ja im pokażę! Złapię, przetrzepię futra i wyrwę ogonki.

Srogo skorzystał z okazji, że skupiłem się na dziewczuchach. Chwytał za plecak i w pośpiechu upychał w nim zeszyt. Ewakuował się. Uciekał. Nauczycielka już go nie chroniła, a kumple zdążyli pomknąć do drzwi – to była

ostatnia lekcja dzisiaj i ostatnia w tym roku szkolnym. Jeszcze tylko rozdanie świadectw i wakacje!

Odpuściłem Srogowi. Gdybym wywołał awanturę, Luiza musiałaby sama wracać do domu. Ze Srogiem policzę się dopiero po wakacjach. Dumny Nochczuo nie zapomina zniewagi. Jeszcze się tego nie nauczyli? Nic nie wiedzieli o kraju mojego ojca, Murwana. Niestety, ja też niewiele wiedziałem, i to mnie gryzło. Wyrwany z korzeniami z ojczyzny? Nazywała się Iczkeria – dla Polaka Czeczenia. Byłem Polakiem zaledwie w jednej czwartej.

Wrzuciłem do plecaka zeszyt i starą, ciężką nokię, następny powód do śmichów-chichów. Ale przynajmniej nie musiałem się trząść, kiedy upadła na podłogę. Miała już odpryśnięty plastik na dwóch rogach. Najważniejsze jednak, że działała. Zarzuciłem plecak na ramię i długim krokiem ruszyłem do drzwi.

Luiza miała polski piętro niżej. W mijających mnie grupkach uczniów nie mogłem dostrzec jej czarnej czupryny i zielonej bluzki. Zajrzałem do klasy, zostały w niej tylko dwie osoby. Nie pytałem o Luizę. Może poszła do toalety? Łazienka była na końcu korytarza, za zakrętem. Kiedy zostało mi do niego jakieś pięć kroków, usłyszałem huk, jakby ciężki przedmiot upadł na podłogę, a potem podniesione głosy.

Przypieszyłem. Miałem złe przeczucie. Syndrom wilka otaczanego przez myśliwych. Nie wypadłem z za ro-

gu, tylko przyczałem się i ostrożnie wyjrzałem zza odrapanej ściany.

Dwóch dryblasów popychało Luizę, jakby była jakimś zombie, i wyzywało. Nagle potknęła się o plecak, który leżał za jej plecami, i upadła. W ostatniej chwili podparła się dłońmi, inaczej uderzyłaby głową o podłogę.

Dosyć tego! Skoczyłem na napastników.

Pierwszego rąbnąłem z rozpędu barkiem, drugiego czołem prosto w nos. Usłyszałem jego krzyk. Luiza szybko wstała i założyła plecak na ramiona. Odetchnąłem – wszystko z nią w porządku. Pociągnąłem dziewczynę za ramię. Potraktowany z byka niezdara wydzierał się, jakby wpadł do wrzątku. Mogłem złamać mu nos.

– Ty terrorysto! – zęgnął nas krzyk chuligana, którego powaliłem barkiem. – Kozi synu!

– To nie koniec! – Wkurzył mnie, tym razem na dobre. – Już nie tkniecie mojej siostry! – rzekłem cicho, ale głos stopiłby tonę lodu.

– Szamil! – Luiza uczepliła się mojej kurtki, próbując mnie zatrzymać. – Nie warto!

Nim zdążył się podnieść, kopnąłem go. A teraz tego wrzeszczącego...

– Dosyć! – Ktoś chwycił mnie za ramiona. Mocno. Odwinąłem się w półobrocie, próbując uderzyć go barkiem. Zrobił błyskawiczny unik. „Szybki jesteś” – pomyślałem i spojrzałem z podziwem na nowego wroga.

Przede mną stała Sawicka, natychmiast ją rozpoznałem. Dyrektorka szkoły zastawiała swoim zwalistym ciałem z pół korytarza. Nowakowska była duża, ale ta kobieta mogła iść w zawody z Mechagodzilla.

– Szamilu Szalicki, pod ścianę. Natychmiast! Luiza, ty też. Przestaniecie krzyczeć? – zwróciła się do pobitych chojraków. Sawicka nie cackała się z chuliganami, czym zdobyła mój szacunek.

– Co to jest? – huknęła. – Fanklub młodocianych przestępców?!

– Tylko gimnazjum, pani pfeesor – bąknąłem.

– Szamil, zamilcz. Radzki, co się tak krzywisz?

– Chyba złamał mi nos – zakwilił chojrak do dziewczyn.

– Jesteś w ostatniej klasie i dajesz się wciągnąć w bójkę przez pierwszaka?

Sawicka przystąpiła do oględzin nosa Radzkiego.

– Nie krwawisz – stwierdziła po chwili. – Szamil, baczność! – Godzilla miała oczy wokół głowy.

– Powiem o wszystkim ojcu! Pożalujecie! – Radzki rozmazał się już na dobre. Jego kolega lepiej się trzymał, bo tylko łypał na mnie spojrzeniem hieny.

– Wzywam policję – oznajmiła pani dyrektor.

Założyłbym się o ostatniego wilka w dolinie Argunu, że Radzki po tych słowach nawet nie bąknie swojemu starszemu o dzisiejszej awanturze.

– Nic się nie stało – *gieroj* potwierdził moje domysły.
– To była tylko taka zabawa. Prawda, Adam?

Jego kumpel skinął głową.

– Szamil, Luiza? – zwróciła się do nas Sawicka.

Spojrzałem na siostrę. Znała mnie na tyle dobrze, aby w mig pojąć, czego od niej chcę.

– Wkurzyli mnie – rzuciłem.

Luiza milczała.

– W takim razie – odrzekła Sawicka – zapraszam winnego do gabinetu. Reszta jest wolna.

Siostra poszła ze mną. Trzymała się jakieś trzy kroki z tyłu. Dyrektorka milczała. Czułem, że się dograłem. Mogłem popędzić z Luizą korytarzem, zamiast kopać Radzkiego. Ale jak miałem mu darować, że obraził moją nieżyjącą matkę? Ciągle pamiętałem dzień, kiedy przyszła po mnie policja z pracownikiem socjalnym. Wypadek, zwykły wypadek. Pijak na drodze. W tym kraju to normalne, tak jak i w Rosji. Jeszcze kilka lat i znajdę kierowcę fiata, który potrącił moją mamę. Anna wracała wtedy do domu ze sklepu.

Zostałem sam; ojciec, Murwan, zginął wcześniej w Moskwie od ciosu nożem w ulicznej bójce. Porachunki na bazarze, jak słyszałem. Dzieciakowi nie mówi się prawdy. Wie tylko tyle, co podsłucha. Luizę poznałem potem, razem trafiliśmy do rodziny zastępczej. Była dla mnie jak rodzona siostra, której nigdy nie miałem. Nie miałem też brata.

– Zapraszam. – Sawicka otworzyła drzwi dyrektorskiego gabinetu. Dała znać Luizie, żeby została na zewnątrz.

Usiadłem na wskazanym krześle. Dyrektorka zajęła miejsce po drugiej stronie biurka. Pierwsze, co zrobiła, to skontaktowała się telefonicznie z moimi opiekunami. Powiadomiła ich, żeby odebrali nas z Luizą ze szkoły. Jej zachowanie było zapowiedzią kłopotów.

– Myślisz, że nie wiem, co się stało? – Nie bawiła się w podchody, od razu przeszła do rzeczy, licząc na moje zaskoczenie.

Odchyliła się na krześle. Przyglądała mi się z uwagą, czekając, aż pęknę. Nie potrzebowała szkolnego psychologa. Starczyłaby za co najmniej dziesięciu.

– Kpili z ciebie, a ty im przyłożyłeś. Jak zwykle.

Zmierzyłem ją wzrokiem, mrużąc oczy (na wszystkich robiło to wrażenie), po czym jej oddałem:

– Jeszcze trochę pani brakuje, żeby być jasnowidzem.

– Szamil, jesteś dzieckiem. Dzieckiem! – Pokręciła głową, jakby zaprzeczała własnym słowom.

– Radzki i ten... Adam też są dziećmi?

Zagiąłem ją, bo długą chwilę milczała.

– Nie jestem jasnowidzem, ale domyślam się, co wywołało twoją agresję. Chłopaki zaczepiały Luizę i ją broniliś? – badała teren. – Wyzywali cię. Tak było?

– A gdyby nawet? Co by pani zrobiła na moim miejscu? Odwróciła się i odeszła?

– Wezwałabym na pomoc starszych. Byłam dwie klasy dalej, dlatego tak szybko znalazłam się na miejscu. Kiedy tylko usłyszałam wrzaski, zareagowałam. Trzeba było pobiec po pomoc, a wcześniej krzyknąć.

– Nie jestem donosicielem! – Co ona sobie myśli? Że ze mnie taki mięczak? Nauczyciele są dziwni. Zupełnie oderwani od ziemi. Żyją w jakimś równoległym, idealnym świecie. Jak to się nazywa? Utopia?

– Swoje sprawy załatwiam sam – próbowałem jej wytłumaczyć. Wydawała się w porządku. Nie roztkliwiała się nad leżącymi na podłodze szkolnymi chuliganami. – Nawet Luiza nie krzyknęła. Mam być większym cykorem od dziewczyny?

Dyrektorka załamała rękę. Przedramiona miała grube, jakby trenowała rzut kulą.

– Jest pani po AWF-ie? – zainteresowałem się. Podobne pytania kierowały uwagę dorosłych na właściwe tory.

– Nie rób uników – ostrzegła mnie. – Widzę, że tak do ciebie nie trafię. Twój opiekunowie również. Mało to razy ich wzywałam? Dlatego skontaktowałam się z Anną Kulczakową, która prowadzi zajęcia z czeczeńskimi dziećmi. Pani Anna właśnie przyjechała do Krakowa.

– Tak miała na imię moja matka.

– Wiem. Przykro mi, chłopcze. Możesz już wyjść. Teraz chciałabym porozmawiać z Luizą.

Odetchnąłem, nareszcie koniec tej bezsensownej gry. Cicho zamknąłem za sobą drzwi.

– Teraz twoja kolej – powiadomiłem siostrę. – Nic jej nie mów.

Luiza wstała, poprawiła spódnicę i po chwili zniknęła w sali przesłuchań.

Usiadłem na krześle, które stało obok tego opuszczonego przez nią, i przymknąłem oczy. Może coś usłyszę zza drzwi? Niestety, grube obicie idealnie tłumilo dźwięki. W zasadzie Sawicka powinna naszą wymianę zdań potraktować jako sukces. Przynajmniej próbowałem się z nią porozumieć. Do tej pory, ilekroć mnie wzywała, milczałem albo odpowiadałem: „Nie wiem”. Bo nie wierzyłem, że potrafi się wczuć w moją sytuację. I obawiałem się, że opacznie zrozumie moje słowa. Jak prawdziwy belfer.

Miałem nadzieję, że Luiza się nie wygada. Jak pójdzie fama, że sypimy, dopiero będą kłopoty. Sawicka i reszta nauczycieli domyślali się tylko, że w gimnazjum jest fala, tak jak w wojsku. Dla mnie to nic nowego. Wyzwany od czarnomaza, miałem problemy już w Moskwie, w ośrodku dla uchodźców mniej, bo z innymi Nochczy trzymaliśmy się razem, za to w polskim bidulu musiałem walczyć o przeżycie. Luiza szczęśliwie od razu po stracie rodziców trafiła do rodziny zastępczej. Czuliśmy się pomiędzy tymi najedzonymi, rozpieszczonymi dziećmiakami inni, co nie znaczy, że gorsi. Żadne z nich

nie musiało pilnować sznurówek, czujnie spać, przemykać korytarzem tak, aby nie sprowokować silniejszych. Nauczyłem się przyjmować ciosy i na nie odpowiadać. Kluczem do przeżycia był strach. Jeśli się ciebie bali, miałeś spokój. Jeśli ty się bałeś, już po tobie. Chłopaki ze starszych klas gnębili tych z pierwszych, bo smarki bały się poskarżyć. Ja przyjąłem inną metodę. Nie donosiłem, ale za to działałem tak, że to moi wrogowie musieli się pilnować. Natychmiast reagowałem. Byłem niższy od trzeciaków, ale szybszy, zwinniejszy. A przede wszystkim zdecydowany. To działało. Dopadną mnie w kilku? Ja ich potem dorwę każdego z osobna. Srogo pożałuje tego, co dzisiaj powiedział.

Otworzyły się drzwi, ujrzałem w nich Luizę. Siostra usiadła przy mnie.

– Czekamy na wujka – oznajmiła. – Sawicka jeszcze gdzieś dzwoni.

– Co jej powiedziałaś?

– Że mnie zaczęli i chcieli cię bić.

– Niedobrze – zafrasowałem się.

Takich spraw nie załatwiało się po babsku.

– Miałam mówić – Luiza zaczęła mnie przekonywać – że trzeciaki szli korytarzem spokojnie jak owieczki, a ty się na nich rzuciłeś? Może by w to uwierzyła, gdyby mnie tam nie zobaczyła. Masz tutaj opinię największego awanturnika, który rzuca się, gdy tylko krzywo na niego spojrzeć. Nie sądzisz, że zasłużoną?

– Nie biję się bez powodu, to nie tak! – Wzburzony poderwałem się z krzesła. – Chronię rodzinę! – Luiza musi to zrozumieć. Bo jeśli ona tego nie pojmie, to kto?

– Wiem, ale powiedz to dyrektorce. Tutaj nie wyciąga się noża, bo ktoś obraził twoją matkę. Szamil, proszę, usiądź.

– Jeszcze kilka miesięcy i rzucam szkołę! Pójdę do pracy.

– Szamil! To nie Czeczenia. Czternastolatkwie nie utrzymują tutaj rodziny. Opuszczone dzieciaki, sieroty nie żyją na ulicy jak w Moskwie. Przecież to wiesz. Przez ciebie Lisowscy będą mieć kłopoty. Gdy te chłopaki leżały na podłodze, wystarczyło odejść.

– Nie, Luiza. – Usiadałem i bezradnie wzruszyłem ramionami. Dziewczyny nie pojmują reguł tej gry. – Wtedy zaatakowałyby ponownie.

– Chłopcze, wiesz, co to obrona konieczna? – Wujek Jacek, mój opiekun z rodziny zastępczej, stał w holu.

Zajęty rozmową z Luizą, nie usłyszałem, kiedy przyszedł.

Znowu poderwałem się z krzesła. Czas przyjąć burę.

– Siadaj – polecił. – Nie ruszajcie się stąd do chwili, aż wyjdę z gabinetu dyrektorki.

– Nie jest dobrze – zmartwiła się Luiza, kiedy wujek zniknął za drzwiami. – Boję się, że możesz z powrotem trafić do bidula.

– Jacek na to nie pozwoli. – Staruszek sam był sierotą i wcielenie się w rolę mojego ojca uważał za swój obowiązek. Dług. Rozumiałem wujka.

Rozmowa z dyrektorką nie trwała długo. Nasz opiekun wyszedł z pokoju, po czym zakomenderował:

– Jedziemy do domu. Tam pogadamy.

Nie dopytywałem, co ustalili. Ale byłem pewien, że Radzkiemu i temu drugiemu również się nie upiecze. Problem w tym, że to mnie dorośli uważali za tego najgorszego.

Agresora.

ROZDZIAŁ 2
SZLABAN

Potulnie jak barany prowadzone na targ razem z Luizą wsiedliśmy do starej skody. Wujek nic nie mówił, miał ponurą twarz. Czuję, że miarka się przebrała. Nie będzie chciał się mnie pozbyć, ale mogą odebrać mu prawo do opieki nade mną.

Utknęliśmy w korku. Normalna rzecz w Krakowie, przecież było późne popołudnie. Jacek zaczął rytmicznie stukać palcami po kierownicy. Nadal się nie odzywał. Pootwieraliśmy wszystkie okna w samochodzie, ale i tak można się było udusić. Czerwcowe popołudnie w mieście. Tragedia. Zapchane wszystkie drogi wyjazdowe z Krakowa.

W kompletnej ciszy nareszcie dojechaliśmy do ulicy Wyki, minęliśmy jeszcze jedno skrzyżowanie – niewielkie, ale i tak koszarne – a potem poruszaliśmy się w sznurze sunących wolno samochodów. W końcu skręciliśmy w uliczkę otoczoną domkami jednorodzinnymi, góra dwupiętrowymi.

Wujek zatrzymał skodę na podjeździe. Miki, mieszaniec wilczura, i Mysza, suczka owczarka collie, pod-

biegły do ogrodzenia. Ujadały i kręciły się jak szalone, łapiąc za własne ogony. Działka tak zarosła, że z drogi ledwie było widać fragment białej ściany i dachówki pokrytej ciemnozielonym kożuchem mchu.

Wysiadłem z samochodu i otworzyłem bramę. Wystarczyło wysunąć śrubokręt z dwóch obejm. Psy skorzystały z okazji i natychmiast mnie obskoczyły. Poczulem na policzku pysk Mikięgo. Ogromny wilczur nie musiał nawet podskakiwać, żeby dotknąć mojej twarzy. Należało na niego uważać, inaczej mógł masywnym łbem rozciąć wargę, a nawet zwałić z nóg nie tylko ośmioletniego dzieciaka. Zawsze kręcił się wokół jak szalony, ilekroć ktoś z nas wracał do domu, choćby po krótkiej nieobecności.

Miki chyba nie miał poczucia czasu. Ciągłe się witał z członkami swojego stada, nawet kiedy na chwilę zniknęli mu z oczu. Jacek mówił, że trafił do nich w kartonie po odkurzacz. Ciągłe piszczący mały kłębek nieszczęścia. Myszę, wyjąca z rozpachy suczkę, Lisowski wyciągnął z pobliskiego głębokiego rowu melioracyjnego, inaczej by się utopiła. Szczeniak nie miał szans wyjść z niego o własnych siłach. Istny dom przybłądów i pechowych istot, tyle że psy odwzajemniały się swoim wybawcom miłością i oddaniem. A ja? Tolerancją dla ich dziwactw.

Zamknąłem z powrotem bramę. Koła zachrzęściły na żwirze, psy pognały za granatową skodą. Luiza wy-

skoczyła z samochodu mokra, jakby wypadła z ruskiej bani, ja zresztą też. Podkoszulek kleił mi się do brzucha i pleców, spodnie przylepiły się do siedzenia.

Weszliśmy razem z Luizą po kilku schodkach na ganek. Psy nas nie odstępowały. Skręciłem w holu na lewo i zajrzałem do kuchni, z Mikim depczącym mi po piętach. Ciocia czekała na nas z późnym obiadem, ale zanim dołączyliśmy do niej, ściągnęliśmy w naszych pokojach przepocone ubrania.

Włożyłem szorty i luźną koszulę, po czym zszedłem do kuchni i usiadłem przy stole. Luiza trochę dłużej zamarudziła w swoim pokoju. Kiedy byliśmy już w komplecie, rzuciliśmy się na jedzenie: jajko sadzone, ziemniaki i zimny kefir. W czasie posiłku nadal panowała uporczywa cisza. Jacek z Iwoną wymieniali się spojrzeniami, a we mnie się gotowało, jakbym przyniósł do kuchni czerwcowy skwar.

– Dobrze, że jutro jest zakończenie roku szkolnego. Zostaniecie w domu – odezwał się nareszcie wujek. – Odbiorę za was świadectwa z sekretariatu.

Nieźle, ominie nas ceremonia białych koszul i paradowanie ze świadectwami po Krakowie. Mieliśmy już wakacje.

– Luiza wyjeżdża na kolonię, tak jak ustaliliśmy. Ty – Jacek spojrział na mnie – zostajesz.

Przełknąłem ostatni kawałek sadzonego i wyczyściłem talerz z ostatniego ziemniaka. To, co usłyszałem,

było do przewidzenia. Bali się, że na kolonii czy obozie, nieważne gdzie, wytnę taki sam numer jak te w szkole. Wdam się w jakąś awanturę, kogoś pobiję i będą musieli mnie odbierać w środku turnusu. Świetnie, trafił mi się ogród przy domu, rozległe pola, kawałek lasu z bunkrami. Szkoda tylko, że nie mogłem zabrać na wolność Mikięgo i Myszy. Po pierwsze, przez myśliwych, którzy podnosili raban, kiedy tylko zobaczyli psy biegające luzem. Nieważne, że zwierzaki zaliwałyby obiekt swojego ataku na śmierć. W dodatku mogli je zastrzelić. Jacek mówił, że to zgodne z prawem, i zdarzało się, że celowali nawet do psa z widoczną obrozą na szyi. Okrucieństwo i złośliwość dwunogów nie ma sobie równych we wszechświecie. Rozumiem, postrzelać sobie w powietrze na czeczeńskim ślubie, ale używać broni, bo jakiś psiak biega wolno po polach przy lesie? Po drugie, z powodu kleszczy. Wystarczyły te, które Miki z Myszą łapali regularnie w ogrodzie. Wujek nauczył mnie, jak się je wyciąga.

– Możecie już wrócić do swoich pokoi – oznajmił.

Wrócić? Chyba iść na banicję! Szlaban w tak gorący dzień.

Kiedy wstałem od stołu i skierowałem się ku schodom, Jacek podążył za mną jak cień. A gdy minął pokój, w którym zniknęła Luiza, wiedziałem, że jest jeszcze gorzej. Wszedł za mną do mojej kajuty na pokładzie oceanu spokoju.

– Laptop – zapadł wyrok.

Z ociąganiem uwolniłem płaski kawałek okna na świat z kabla zasilającego.

– Co ja będę robić cały wieczór? – jęknąłem.

Nie miałem smartfona, jedyną szansą na połączenie się z netem i kumplami był ten stary laptop z wi-fi. Bajerancka konsola też pozostawała w sferze pragnień. Lisowscy uważali, że gry to strata czasu. Dobrze chociaż, że moje uzbierane kieszonkowe starczyło na używanego lapka.

– Masz książki. – Wujek wskazał na regał zastawiający całą ścianę. Kurzyły się na nim książki wydane w czasach, kiedy komputery stanowiły szczyt luksusu.

– To starocie! – zaprotestowałem.

Nie znalazłem na półkach żadnej nowości. Byłem skazany na pożyczanie albo wymianę plików ze znajomymi. A i tak w ograniczonym stopniu. Wujek regularnie wbijał mi do głowy, co to piractwo, i że należy mieć szacunek do pracy innych, nawet kiedy kieszenie świecą pustkami. Chciał mnie wychować na obywatela bez skazy, ale jak na razie nie dawał sobie rady nawet z moim instynktem przeżycia.

– *Włóczęgi północy* ci się podobały. Masz tutaj całą serię o Tomku Wilmowskim. *Winnetou* Maya i książki Wernica.

Czy dorośli uparli się, żeby wybierać dzieciakom lekturę? Może woląłem *Achaję*? Później jest obciach przed

kolegami. Tylko że ja, po pierwsze, nie czułem się dzieciakiem, po drugie, żadnych kolegów tutaj nie miałem. Tych, z którymi mogłem pogadać, widziałem tylko przez kamerę w lapku.

– No, Wernic obejdzie – mruknąłem. – *Włóczęgi* też fajne. – Nie chciałem sprawić wujkowi przykrości, mówiąc, że tego już się nie czyta. Podobno książki są wieczne. Jak lektury szkolne. Prawdę mówiąc, na książkach nauczyłem się języka. Tylko potem wyśmiewali mnie w klasie, że mówię jak stary przyk. Jak zakurzony eksponat, który ożył. Wypełznął z zapomnianej dziury, po drodze zrywając brudne pajęczyny. Przez Jacka mój optymizm prysnął jak bańka mydlana.

Miałem więc spędzić wakacje z książkami o pożółkłych kartkach, zjadanymi przez mole?

Jacek zostawił mnie samego. Podszedłem do regału i przesunąłem wzrokiem po grzbietach powieści: Andre Norton, Andre Norton... *Opowieści ze Świata Czarownic*. Świetne lekturki... dla bab. Le Guin? Nie, dziękuję. Nudy takie, że już wołałem Norton. *Ucho, dynia, sto dwadzieścia pięć*? Bez hec! Nie jestem dzieciakiem. Historyjki o przemianie w psa to dla dziesięciolatków. Paolini z jaszczuromkiem na okładce? Też kiepsko. Wołałem myśliwce i transportery opancerzone. Wujek zamknął na klucz *Ziemię wojny* Łatyniny. Miała fajną okładkę. Powiedział, że to książka dla dorosłych. O Kaukazie i Awarach. Bohater Iczkerii, Szamil, był Awarem. Dru-

gi Szamil był Nochczuo, ale źle tutaj o nim mówili. Już go nie ma, tak jak i Murwana, mojego taty.

Moją uwagę przyciągała niepozorna książeczka z bladym szaroniebieskim grzbietem bez tytułu. Ciekawe, co to?

Ledwie ściągnąłem ją z górnej półki. Przydałoby się jeszcze trochę podrosnąć. Może za rok, dwa bez trudu dosięgnę?

Zaintrygowało mnie nazwisko autora: Edgar Rice Burroughs i blada kula niby planety. Przecież Mars jest pomarańczowy! Mówi się na niego „czerwona planeta”, tak jak na Ziemię „błękitna”. No i ten tytuł! *Księżniczka Marsa*? Kolejny babski tomik.

Nagle przypomniałem sobie, że gdzieś się spotkałem z takim zestawieniem słów. Na podstawie tej powieści nakręcono film, który niedawno oglądałem na DVD – krążek kupiony za kilka złotych. Niech będzie ta *Księżniczka*. Luiza zaraz zrobiłaby mi wykład, że dziewczyny też mają uczucia i nie powinienem się z nich wyśmiać. Powiem jej, że czytałem o księżniczce. A że w filmie były fajne strzelanki z kosmitami? Taką niedużą książeczkę pochłonę w jeden wieczór.

Jacek miał w takim samym formacie stare wydania *Wiedźmina i Ksina*. Książki już się rozpadały. Wykruszył się klej i trzeba było wpychać bloki kartek w okładki. No i uważać, żeby pojedyncze gdzieś się nie zawieruszyły. *Księżniczka* nie była w dużo lepszym stanie. Dobrze chociaż, że kartki trzymały się jeszcze grzbietu.

Poczułem znajomy zapach starego papieru. Kiedy przeniosłem wzrok na wewnętrzną stronę, przed kartką „Do czytelników”, zobaczyłem datę: 1990. Książka miała już dwadzieścia pięć lat. Sporo. Kiedy ja osiągnę taki wiek? Przypomniałem sobie, jak w Moskwie mama podsuwała mi polskie książki, które dostała z kościelnych darów. Ojciec nie protestował, rozumiał jej sentyment. Sam czuł się głupio, kiedy brakowało mu jakiegoś słowa w języku Nochczy.

Słyszałem, jak rodzice mówili, że ich narody rusyfikowano. Że Rosja jest imperium, a Czeczeni, Awarowie, a przedtem Ukraińcy i Polacy, to narody podbite. Mama podetknęła mi książkę o Powstaniu Warszawskim dla maluchów, którą miała z darów. Bardzo starannie wydana, w twardej okładce i z ilustracjami o przygaszonych barwach.

Spodziewałem się opowieści podobnej do tej z filmu, jednak *Książniczka* zaczynała się inaczej. Usiadłem wygodnie na łóżku, oparty o dużą poduszkę, i pogrążyłem się w lekturze.

Historia Johna Cartera wciągnęła mnie tak bardzo, że straciłem poczucie czasu. W pokoju zrobiło się ciemno. Włączyłem lampkę przy łóżku, później górne światło. Wtedy poczułem zapach dymu (kiedy wróciłem ze szkoły, otworzyłem okno). Dochodził z... tarasu. No przecież! Czytanie książki w pokoju to zbyt mała kara. Wujek odpalił grilla beze mnie! Wątpiłem, żeby szybko

mi wybaczył i przyniósł na papierowym talerzyku pierś z kurczaka, cukinię i podpieczony chleb. Ciocia Iwona też nie zmięknie. Nie zamierzałem jednak tkwić na łóżku przez cały wieczór, gdy oni robili tam szaszłyki.

Odłożyłem książkę na szafkę i wstałem. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Niby miało wystarczyć słowo „szlaban” – słowo klucz. To nie w porządku! Mogliby sobie odpuścić grilla beze mnie. Zawsze rozpalałem ogień i pilnowałem go, przewracałem mięso na kracie, aby się nie przypaliło. Miki i Myszka czarowały mnie wtedy oczami w nadziei, że zmięknę i rzucę im smaczny kąsek. Teraz też muszą być wpatrzone w kratę, a to znaczy, to znaczy... że psy nie zdradzą mnie, kiedy się tam podkradnę.

Cicho przemknąłem korytarzem. Taras znajdował się po przeciwnej stronie domu. Dotarłem do pokoju gościnnego, z którego wyszedłem na długi balkon. Dom Lisowskich był jak zlepek klocków różnej wielkości i kształtu. Rozbudowali go ze starej kopertówki, ale nie zapełnili. Nie doczekali się własnych dzieci.

Liczyłem na to, że czekające na swoją kolejkę psy nie zaczną wyć, nawet kiedy znajdę się nad tarasem. Dostrzegłem postać leżącą na balkonie. Luiza wpadła na ten sam pomysł co ja – też nie potrafiła wysiedzieć w swoim pokoju. Myślałem, że będzie przy grillu. Musiała wyjść na balkon z pokoju, którego używaliśmy jako garderoby, i jak to ona, bardzo zaradna osóbką, pomyślała o karmiacie.

Podszedłem do siostry i położyłem się obok niej. Luiza przesunęła się, żebym miał jak najmniejszą styczność z zimną płytą, i zakryła mi ręką usta, dając znać, abym był cicho. Szybko zrozumiałem dlaczego.

Lisowscy mówili o mnie.

DUCHY PRZESZŁOŚCI I PROBLEMY WYCHOWAWCZE

Nieładnie jest podsłuchiwać, ale to była sytuacja nadzwyczajna. Od razu zrozumiałem, że waży się moja przyszłość.

– Wiedziałam, że nie będzie łatwo – mówiła ciocia – ale nie aż tak! – W jej głosie zagrały emocje. – Ile razy słyszę telefon, wpadam w panikę. Myślę, że Szamil zrobił to... Poszedł w ślady ojca!

– Chcesz powiedzieć – wujek również był zdenerwowany – że ma to w genach? To tak nie działa.

– A niby dlaczego ludzie nie chcą adoptować obcych dzieci?

– Nie chcą adoptować starszych dzieci z domu dziecka. Niemowlaki są rozdrapywane. Przecież wiesz.

Dziwnie to zabrzmiało. Zobaczyłem przed oczami te „rozdrapywane” niemowlaki.

– Liczyliśmy się z tym, że Szamil to wyzwanie – tłumaczył wujek.

Byłem dla nich „wyzwaniem”! Nie wiedzieli, że oni dla mnie również. Zanim jako tako ich zrozumiałem i dogadałem się z Luizą, minęło z pół roku.

– Postaraj się go zrozumieć...

Oho! Oni też próbują.

– ...chłopak inaczej wygląda, inaczej się zachowuje, inaczej reaguje. A to wzbudza agresję.

– Jacek, Szamil zachowuje się jak bystry czternastolatek. Ale jest pobudliwy. Nie potrafi się opanować, tak samo jak Miki.

Teraz porównywali mnie do zwierzaka! Nie rozumiałem ich i całej tej rozmowy, która nie była przeznaczona dla moich uszu. Nic dziwnego, że miałem w głowie młyn.

– Ale Miki nie gryzie innych psów, bo krzywo na niego spojrzęły. Nie możemy Szamila nigdzie wysłać. Boję się go puścić nawet na szkolną wycieczkę. Ba! Wypad do kina. Całe wakacje spędzi w domu. Poza tym Sawicka dała ci do zrozumienia, że lepiej, gdyby chłopak zmienił środowisko. Trzeba mu znaleźć nową szkołę, Luizie też. Przeczucie mi mówi, że dzięki niej Szamil jeszcze jakoś funkcjonuje. Szkoda, że dziewczyna jest w klasie wyżej. Żeby tylko nie traktował tak serio pilnowania jej na każdym kroku. Na początku robił Luizie awanturę nawet o noszenie spodni. Wyobrażasz sobie, kontrolował dziewczynę, jak się ubiera! Taki dzieciak!

„Dzieciak”? Najpierw „bystry czternastolatek”, a teraz... „dzieciak”? Zdecydowanie woląłem „bystrzaka”. Poczulem, jak Luiza trąca mnie barkiem. Przebaczyłem im tego „dzieciaka”. Zmiana szkoły nam się spodobała. Luiza również nie lubiła swojej klasy. Nie żaliła mi się, że jej dokuczano, w obawie o moją reakcję, ale swoje wiedziałem. Stawała się strasznie nerwowa, kiedy szła na lekcje. Skąd ja to znałem? Też byłem czujny, gdy wkraçałem na wrogi teren. A te spodnie... No cóż, musieliśmy się jakoś dotrzeć. Luiza potrafiła być bardziej uparta ode mnie, tylko że nieźle się z tym kryła. Potakiwała, uśmiechała się, a na końcu i tak stawiała na swoim.

– Zmiana szkoły? Kto ci zagwarantuje, że w nowym miejscu historia się nie powtórzy?

Nie, nie! Wujku! Zmiana szkoły to świetny pomysł! Moglibyśmy zacząć od nowa. Od razu porozstawiać po kątach kogo trzeba. Nie byłbym już pierwszakiem, a Liz po wakacjach będzie trzeciakiem.

– Ale trafiłaś w sedno, kochanie. Słowo wytrych: socjalizacja.

„Socjalizacja”? Tak się mówi o szczeniakach. Że się socjalizują. Co oni kombinowali?

– Szamil stracił oparcie w swoich. Sporo o tym myślałem. Wszyscy sądziliśmy, że w polskiej rodzinie szybciej się zintegruje i w szkole zaprzyjaźni z rówieśnikami, zamiast, jak wcześniej, okopywać się w grupie innych Czechenów.

Okopywać?! Jak byliśmy w grupie, nikt nam nie podskoczył! Teraz musiałem sobie radzić bez niczyjej pomocy. Niech wujek sam spróbuje przeciwko połowie klasy, kiedy druga udaje, że niczego nie widzi, albo się chichra. Jak wtedy z „obszczymurkiem”.

– Tym bardziej wydawało się to proste, że Anna była półkrwi Polką i uczyła chłopaka języka swojej matki. Ale on nie czuje się pewnie. Cały czas szuka. Przejrzałem jego laptop. Nie wyczyścił przeglądarki.

Luiza chwyciła mnie za ramię. Bała się, że ostro zareaguję. Zdradzę, że jesteśmy tuż nad nimi. To nie w porządku, że wujek mnie szpiegował! Ale ja go właśnie podsłuchiwałem. Byliśmy kwita.

– Jednak wylogował się z Facebooka i ze skrzynek.

Tego tylko brakowało! Żeby czytał moje prywatne wiadomości!

– Powiem ci, że nie jest dobrze. Chłopak szuka po omacku. Strony kalifatu to najmniejszy problem. Takiego nastolatka łatwo zwerbować.

– Co ty sugerujesz! – krzyknęła ciocia. – Że opiekujemy się dorastającym terrorystą? Właśnie dlatego, że wszyscy tak odbierają Czeczenów, o zgrozo, muzułmanów, Szamil ma problemy! – Po chwili dodała przyciszone głosem: – Poproś Ludwika, aby założył mu blokady.

– To niczego nie rozwiąże. Skoro jest taki bystry, chłopak poradzi sobie z nimi albo skorzysta z laptopa

kogoś innego. A uwierz mi, ma duży głód wiedzy. Sporo przeszedł. Tych doświadczeń nie da się wyrzucić z jego pamięci, tak jak zbędnych plików z twardego dysku. Mamy w domu dorosłego w ciele dzieciaka.

Teraz nie jestem „dzieciakiem”, bo Jacek zobaczył, że wchodzę na strony z zawodzącymi mułkami i arabskimi „szlaczkami”? Utworami podnoszącymi na duchu wygnañców? Że chcę się czegoś dowiedzieć o kraju, z którego pochodził mój ojciec? Gdybym wszedł na stronę o Powstaniu Warszawskim, też byłoby źle, bo zobaczyłby na niej czołg i dzieciaki w hełmach? Zniszczony Grozny nie różnił się od ruin Warszawy.

– W takim razie sprawmy, żeby dziecko na powrót stało się dzieckiem!

– Iwona, ciszej. Kazałem zostać im w pokojach, ale twój podniesiony ton...

Musiałem dobrze nadstawić uszu, bo zaczęli mówić prawie szeptem.

– Dzwoniłem do Olka. Dobrze się składa, że otwiera filię klubu MMA w Krakowie. Wyślemy chłopaka na treningi.

Super! Nareszcie wymyślili coś sensownego. Moje kieszonkowe nie wystarczyłoby, aby opłacić takie treningi, a nie chciałem prosić o dodatkowe pieniądze. Lisowscy liczyli się z każdym groszem. Utrzymanie dużego domu kosztowało. Słyszałem, jak o tym rozmawiali.

– Jacek, mamy inne czasy. Kiedyś wystarczyło wysłać największego rozrabiakę na osiedlu do klubu bokserkiego i w ten sposób wydrzeć go ulicy. Kiedyś...

– Szamil lubi zaglądać do warsztatu. Ciekawi go moja praca. Porobimy razem przy motocyklach. Mam nadzieję, że wtedy do niego trafię, nadarzy się okazja, aby porozmawiać, a nie tylko go strofować.

To też mi się spodobało. Gdy będę umiał naprawiać motocykle, rzucę szkołę i zacznę zarabiać na siebie i Luizę. Nie wróżyłem planowi cioci i wujka, aby zrobić ze mnie na powrót dziecko, powodzenia. Nie wzięli pod uwagę, że dzieciak z biduła chce jak najszybciej zależeć od samego siebie. Mieć coś swojego.

– Zaniósę im szaszłyki – zaproponowała Iwona. – Specjalnie pokroiłam indyka, a nie łopatkę, żeby Szamil też mógł je zjeść.

– Nie – sprzeciwił się Jacek. – Muszą odczuć karę i nauczyć się, co to solidarność. Jutro im odgrzejesz.

„Solidarność”? Oni właśnie wcinali szaszłyki, a nam burczało w brzuchach! W dodatku od płyty ciągnął chłód. Luiza dała mi znać ręką, że się wycofujemy. Skorzystaliliśmy z zamieszania przy grillu. Wujek właśnie kazał Mikiemu warować. Opuściliśmy balkon i przemknęliśmy do pokoju Luizy. Siostra zamknęła okno, następnie usiedliśmy na dywanie.

– Szkoda, że nici z tą nową szkołą – zaczęła.

– Ale przynajmniej nie dopadnie mnie nuda, kiedy wyjedziesz. Słyszałaś?! Będę chodzić na treningi.

– No nie wiem, w czasie wakacji takie kluby organizują wyjazdy na obozy szkoleniowe. A wujek z ciocią nie chcieli cię wysłać nawet na kolonię.

– I całe szczęście. Znowu zadarłbym z jakąś grupą starszych ode mnie chłopaków.

– Ja będę musiała sobie poradzić.

– Obóz językowy, a potem wyjazd na wieś? Przeżyjesz. Może nawet łatwiej niż ze mną. Wiem, że obejrwało ci się na korytarzu właśnie przeze mnie. Sprytnie wybrali miejsce. Koło toalet jest martwy punkt. Żadna kamera go nie obejmuje. Widać cię dopiero, jak wyjdiesz zza zakrętu.

– Masz to wszystko opanowane. – Wychwyciłem podziw w jej głosie.

– Perfekcyjnie. Szkoła to jak pole bitwy. Zasieki, kryjówki, schrony...

– Lepiej żeby cię wysłali na paintball, a nie to MMA. Widziałeś, jak oni się biją?

– Nie no, super! Jesteś dziewczuchą, dlatego tego nie zrozumiesz.

– Dziewczyny też trenują sporty walki.

– Eeee... to jest zabawa dla dziewczuch.

– Znowu zaczynasz!

– Luiza, spoko. Nie ma co się kłócić. Jak wyjedziesz, będzie tutaj strasznie pusto.

– No właśnie. Chciałabym ci coś pokazać. Poczekaj chwilę.

Otworzyła szafę i wyciągnęła z niej ortalionową kurtkę. Założyła ją na siebie i upchnęła do kieszeni mały pojemniczek z martwymi chrząszczami. W lecie było ich tu pełno, wpadały do wanny, wiader, znajdowaliśmy je na balkonach. Po co jej te owady? Nie miałem pojęcia. Może dokarmiła pisklaki? W ogrodzie odkryliśmy kilka dziupli.

Z szafki przy łóżku Luiza wydobyła latarkę i sprawdziła, czy działa.

– A teraz idziemy do ogrodu. Tylko cicho. Miki i Myszka nie będą chciały zejść na dół, dopóki wujek z ciocią siedzą przy grillu.

Wyszliśmy z domu, ostrożnie zamykając drzwi. Gank nie był widoczny z tarasu, część ogrodu na tyłach domu również. Po chwili zasłoniły nas krzaki. Luiza uklękła przy kamionkowej rurze, którą Jacek wykopał na wiosnę.

Sięgnęła do kieszeni i przy wylocie rury położyła kilka chrząszczy.

– To dla jeży.

– Namierzyłeś gniazdo jeży w ogrodzie?

– Zobaczysz. Mam nadzieję, że uda mi się je zwabić.

Przycupnęliśmy w pobliskich krzakach. Luiza nie zgasiła światła w swoim pokoju, jego blask docierał do naszego stanowiska, w dodatku była jasna noc. Nie do-

strzegłem żadnej chmury na atramentowym niebie. Kula księżycza przypominała mi rysunek, do którego przyczepiła się Nowakowska. Właśnie! Zapomniałem o Srogu. Do września nie będę miał okazji już się na nim odegrać. Ale co się odwlecze, to nie uciecze. Trzeba tylko cierpliwości.

Po chwili zacząłem żałować, że nie zabrałem kurtki. Najpierw zimny beton, teraz chłód nocy. Nie skarżyłem się jednak. Czekałem.

– Chyba nie przyjdą – zmartwiła się Luiza. – Wrócą do gniazda dopiero o bladym świcie.

Wstałem wcześniej rano, a teraz jeszcze drżałem z zimna. W dzień gorąco, a w nocy aż taki spadek temperatury? Nie wytrzymam do świtu. Lisowscy przynajmniej siedzą przy grillu.

Nagle Luiza chwyciła mnie za ramię.

– Coś słyszę – szepnęła.

Miała słuch jak czujna Myszka. W ogrodzie było zupełnie cicho. Nie dochodziły do mnie nawet szmery z tarasu. Wujek z ciotką musieli wrócić już do sypialni, a psy ułożyły się do snu na kocu w salonie.

– Wyciągnęłaś klucz z zamka od wewnątrz? – wolałem się upewnić.

– Inaczej nie zamknęłabym za nami drzwi. Nie pierwszy raz wymykam się w nocy z domu.

„Nie tylko ty” – pomyślałem. Wspinałem się wtedy na balkon, ale Luiza nie dałaby rady. Gdyby zapomnia-

ła o kluczu, a Lisowscy zamknęli dom na noc, otworzyłbym jej drzwi od środka. Tylko psy! Musimy coś wykombinować, żeby nas nie zdemaskowały.

– Jest – szepnęła konspiracyjnie Luiza.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: wnk@wnk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@wnk.com.pl
www.wnk.com.pl

*Książkę wydrukowano na papierze
Creamy 60 g/m² wol. 2,0.
????*

Redaktor prowadzący *Katarzyna Lajborek*
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*
Redakcja *Sylvia Sandowska-Dobija*
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*
Korekta *Małgorzata Ruszkowska, Magdalena Szroeder*

ISBN 978-83-10-13110-2

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2016 r.
Wydanie pierwsze
Druk: POZKAL, Inowrocław ????